

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Lodowata pustka „Nie-Boskiej komedii”

„**N**ie-Boska komedia” Zygmunta Krasińskiego była zawsze przyjmowana speszeniem. Arystokrata, choć i romantyczny poeta, zdawał się negować ideę postępu, a artyści przeważnie w nią wierzyli. Owszem, realizowali ją na scenie wielcy: Konrad Swinarski, Adam Hanuszkiewicz, Jerzy Grzegorzewski, na różne sposoby mocując się z jej przesłaniami. Ale w Teatrze Telewizji została pokazana tylko raz.

I właśnie tę inscenizację, Zygmunta Hübnera z 1982 r. (nakręconą podczas karnawału Solidarności), przypomniał Mikołaj Mirowski w swoim cyklu w TVP Historia. To dobry spektakl, z czasów, kiedy wybitni reżyserzy nie przesłaniali swoimi wtrętami i pomysłami tekstu.

Możliwe, że początek, obraz porażki rodzinnej hrabiego Henryka, wyda się trochę konwencjonalny, ale taki jest ten dramat. Za to scenę, w której hrabia Henryk prowadzony przez zaskakująco smutnego diabła (świątyni Jerzy Trela) zwiedza obóz rewolucjonistów niczym kolejne kręgi piekieł, dysputę Henryka z wodzem rewolucji Pankracym i końcową obronę zamku św. Trójcy przed nieuchronnym ogląda się z napięciem. Sceny zbiorowe wychodzą w filmowy plener, wojenny finał odbywa się w zamkowych ruinach. Apokaliptyczna muzyka Bohdana Mazurka wzmaga wrażenie czegoś ostatecznego.

Mirowski wraz Filipem Memchesem oznajmili we wstępie, że ten dramat to niejako wewnętrzna krytyka romantyzmu (hrabia Henryk ponosi klęskę jako poeta szukający romantycznej ułudy), a do tego katastroficzny obraz końca świata uruchamianego przez rewolucję. Która na dokładkę nie jest pokazana jednoznacznie.

I faktycznie nie jest. Kiedy znakomity Marek Walczewski jako Pankracy (upozowany trochę na Lenina) ściera się ze stylowym Jerzym Zelnikiem jako arystokratą, doznajemy wrażenia, że racje wodza rewolucji popierane przykładami brzmią wręcz mocniej. Także w innych scenach autor mówi o nędzy ludu. Bunt nie jest efektem spisku czy ideologicznej fanaberii.

Nie zmienia to faktu, że Krasiński pasowany przez

Mirowskiego i Memchesa na proroka przyszłych czasów, pokazywał rewolucję plakatową, wymyśloną. Owszem, posługiwał się przykładami radykalizmu wielkiej rewolucji francuskiej, łącznie z próbą wymyślenia rewolucyjnej religii. Owszem przeczuwał apokalipsę rewolucji bolszewickiej, a nawet kontrkulturę XX w. Ale pisząc „Nie-Boską...” w 1833 r., nie zauważał, bagatela, ewolucji świata w kierunku mieszczańskiej demokracji, którą starcia rewolucyjne przyspieszały. Przyszła klasa średnia dla niego nie istniała. Był motłoch i byli panowie.

W efekcie miast społecznej wiwisekcji mamy recytacje w duchu romantycznych emocji. Zarazem zaciekawilo mnie, choć i odepchnęło coś jeszcze. Henryk wspomina, że nowa władza będzie równie grzeszna jak stary porządek. Ale przede wszystkim przeciwstawia diagnozom Pankracego recytacje pełne arystokratycznej wyższości, swoistego pańskiego szowinizmu. Ciekawe, na ile odczuwał ten szowinizm sam Krasiński. Cóż z tego, że uznawał go za schyłkowy.

Z kolei finał, kiedy Pankracy doznaje wizji triumfującego Chrystusa, to niby zwycięstwo chrześcijaństwa. Skądinąd



wyklinanego w tej sztuce przez lud jako dodatkowy symbol dziejowej niewoli. Czy wiara to trzecia droga? Ale w dramacie nie ma ani jednego jej reprezentanta. „Za to żeś nic nie kochał, nic nie czcił, potępion będziesz” – oznajmiają duchy z zamkowego lochu Henrykowi, który zdaje się bronić religii jako tradycji. Wcześniej pojawiają się wizje oszalałego Jezusa. To

ciekawe sygnały szaleństwa nowoczesności, ale też po tej sztuce pozostaje wrażenie lodowatej pustki. Dlatego tak jestem jej ciekaw i tak jej nie lubię.

Piotr Zaremba